

Waliłem w worek jak szalony. Boks mnie odprężył. Sprawiał, że nagromadzone we mnie napięcie uwalniało się. Żal i gniew ustępowały, a po treningu byłem zbyt zmęczony, by znów się na nich skupiać. Cały dzień czekałem na ten moment. Po południu zostawiali mnie samego w prowizorycznej siłowni urządzonej w dawnym pomieszczeniu bibliotecznym. W więzieniu nikt nie czytał, więc zagospodarowanie tej niewykorzystanej przestrzeni było słusznym krokiem ze strony dyrekcji placówki. I choć czujne oko kamer nadal śledziło każdy mój ruch, przebywając w tym miejscu, miałem namiastkę prywatności. Podczas ćwiczeń wyobrażałem sobie, że naprawdę walczę. Zadawałem ciosy pięściami i stopami. Przed oczami miałem twarze wielu osób, które spotkałem w życiu, a którym z chęcią skopałbym tyłek. Szkoda tylko, że tej, na której najbardziej mi zależało, nie pamiętałem. Zamazał ją czas, a ja byłem bezradny. To była jedyna rzecz, której żałowałem. Nie udało mi się znaleźć parszywego mordercy i pewnie już nigdy nie zemszczę się za to, co zrobił.

Zadawałem ciosy coraz szybciej. Za każdym razem, gdy myślałem o tym mężczyźnie, czułem uderzenie adrenaliny. Ogarniała mnie furia. Przystawałem myśleć racjonalnie. Od tylu lat

tłumiłem to w sobie i trzymałem w ryzach swoją wściekłość. Ale złość wciąż się we mnie tliła i wiedziałem, że dopóki nie zrealizuję planu zemsty, w każdej chwili może wybuchnąć. Jak chociażby podczas mojej ostatniej misji. Straciłem kontrolę, ale nawet teraz, po półtora roku odsiadki, nie czułem skruchy. Zrobiłem to, czego nie zrobiłby system. Znajomości i pieniądze oczyściłyby śmiecia, którego załatwiłem, a on nadal powtarzałby swój proceder. Jak w takim razie mógłbym żałować, że pociągnąłem za spust? Dostałem dwadzieścia pięć lat i nie zapowiadało się, bym dostał zwolnienie warunkowe. Nie byłem posłuszny, stanowiłem zagrożenie dla innych więźniów, nie poddawałem się resocjalizacji. Nie szukałem tu przyjaciół, wolałem, by wszyscy się ode mnie odwalili, gdyż moje złość i żal mogły obrócić się przeciw nim. Szybko uzyskałem to, czego chciałem. Współwięźniowie omijali mnie szerokim łukiem, nie kazano mi integrować się z grupą, a także chodzić na durne spotkania z więzienną psycholog, która uważała się za alfę i omegę i oferowała remedium na każdą bolączkę. Miałem z nią do czynienia tylko raz. Na szczęście nikt mnie nie zmuszał, bym to powtórzył. Psychologia na nic się bowiem zdawała w obliczu tego, co przeszedłem. Nie zamierzałem wzbudzać w sobie poczucia winy, jak tego oczekiwano, gdyż było mi ono zbędne. Nie chciałem działać wbrew sobie. Mój czyn był aktem sprawiedliwości i nie umiałem myśleć o nim inaczej. Sprawiedliwe byłoby także definitywne załatwienie mordercy, który mi się od tylu lat wymykał, ale szansę na to zaprzepaściłem, lądując w kiciu.

W pewnym momencie usłyszałem zwolnienie elektrycznego zamka w drzwiach siłowni. Nie przestawałem boksować worka. Było za wcześnie na koniec mojego treningu i nie musiałem nawet patrzeć na zegar umieszczony nad wejściem, by to wiedzieć.

– Anderson, pójdziesz ze mną – rozkazał strażnik, ale zignorowałem jego głos. Nadal wyzywałem się na worku.

– Anderson. Idziesz ze mną, do cholery. Rozumiesz? – powtórzył.

– Zostało mi jeszcze pół godziny – warknąłem, kontynuując boksowanie. – Za pół godziny pójdę, gdzie zechcesz.

– Ruszaj dupę, Angolu. Albo ci ją skopię.

Męczyzna ruszył w moim kierunku. Wystarczyłby jeden cios i facet nakryłby się nogami. Byłem agentem. Trenowałem od lat. Znałem sztuki walki. Ten koleś nie miał ze mną szans. Dobrze, że choć częściowo odreagowałem nagromadzone stresy, bo całkiem możliwe, że bym go zaatakował. Przerwałem boksowanie i odwróciłem się w jego stronę. Był niższy ode mnie o głowę. Jeden cios. Wystarczyłby jeden cios...

Tylko co by to dało? Jedyne pogorszyłoby to moją sytuację. Znowu mnie zleją pałkami, porażą paralizatorami albo gorzej – na dłuższy czas uniemożliwią przychodzenie na siłownię. Bolałoby mnie to bardziej niż fizyczne ciosy. Już parę razy tak zrobili, gdy kilku strażników ostro ode mnie oberwało. Chcieli mnie tym złamać i prawie im się to udało. Moje szaleństwo wymykało się wtedy spod kontroli. Nie chciałem znowu na to pozwolić. Lepiej, by cierpiał worek treningowy niż służba więzienna.

– Gdybym był Angolem, nie odsiadywałbym wyroku w zapyziałej Polsce – odgryzłem się.

– Gdybyś był Polakiem, kochałbyś swój kraj, a nie działał na jego niekorzyść – syknął strażnik.

– A skąd wiesz, że nie kocham? – zapytałem buńczucznie.

– Nie mamy o czym gadać. Zabiłeś ministra sprawiedliwości. To nie jest patriotyczny czyn. A teraz dawaj łapska.

Choć bardzo mnie korciło, by mu przygrzmocić, podałem mu rękę. Błyskawicznie skuł mi nadgarstki kajdankami.

– A skąd pewność, że minister sprawiedliwości kochał Polskę?  
– zakpiłem. – Może dokonałem aktu patriotyzmu, pozbawiając go życia?

– Stul pysk. Idziemy! – krzyknął ze złością mężczyzna i popchnął mnie, bym szedł przodem.

Wiedziałem, że moje słowa go poruszyły. Wiele osób plotkowało po śmierci ministra Nowaka o jego niegodnych praktykach. Choć próbowano zamieść wszystko pod dywan, a mój proces toczył się za zamkniętymi drzwiami, moje zeznania wypłynęły do opinii publicznej. I dobrze. Skurwiel powinien smażyć się w piekle. To, czego się dopuszczał, korzystając ze swojej pozycji, było parszywe, a ja zadbałem, by nie pozostało bezkarne.

– Dokąd się wybieramy? – zapytałem jak gdyby nigdy nic, kiedy wyszliśmy z siłowni na więzienny korytarz pomalowany ohydłą żółtą farbą. – Oby nie do tej cizi, psycholożki. To będzie gorsza kara niż przerwanie moich ćwiczeń – zaśmiałem się.

– Nie bądź taki ciekawski, bo zamiast na spacer odmaszerujesz do celi – odburknął strażnik i by podkreślić swoją nadrzędną pozycję, szturchnął mnie w ramię, bym przyspieszył.

Zaintrygowało mnie, dokąd idziemy. Moje życie w więzieniu było koszmarnie nudne. Prócz treningów pozostawała mi jeszcze lektura książek, które uratowałem z przerobionej na siłownię biblioteki. Gdy była ładna pogoda, wychodziłem na spaceriak, jednak ze względu na to, że wyrobiłem sobie wśród współwięźniów opinię niebezpiecznego, strażnicy zawsze wypuszczali mnie samego. Pasowało mi to, bo nie zamierzałem się z nikim bratać. Poziom współosadzonych był żenujący. Tylko momentami żałowałem, że nie mam się do kogo odezwać. Zmiany w codziennej rutynie były więc dla mnie niczym powiew świeżego powietrza, dlatego bez wdawania się w dalszą dyskusję posłusznie maszerowałem przed siebie.

Przeszliśmy cały labirynt korytarzy i zamykanych na elektryczne zamki drzwi, aż dotarliśmy do schodów. Tej części mojego bloku nie znałem. Chyba nigdy tu nie byłem. Moje podejrzenie szybko przerodziło się w pewność, gdy wartownik doprowadził mnie do piwnic budynku.

To było dziwne. Musiałem być czujny. Może znów chcieli skopać mi tyłek? Strażnicy praktykowali bicie więźniów poza zasięgiem kamer i bez wiedzy przełożonych. Dotyczyło to głównie tych skazanych, których się bali i którzy byli im nieposłuszni. Ja niewątpliwie należałem do tej krnąbrnej grupy. Stawiałem się, byłem opryskliwy, okazywałem im pogardę i wyższość. Wiedzieli, że ich przeszkolenie było byle jakie w porównaniu z moim. Ja kształciłem się w Anglii i w Polsce pod okiem najlepszych agentów, komandosów, żołnierzy. Oni mogli o tym jedynie pomarzyć. Czasem więc potrzebowali sobie na mnie odreagować. W sumie była to też jakaś forma rozrywki dla mnie. Coś się działo. No i miałem okazję wykorzystać swoje mięśnie. Z takich spotkań nie tylko ja wychodziłem poobijany, bo choć zawsze miałem skute ręce, nadrabiałem wiedzą bojową, zwinnością i znajomością sztuk walki. Czyżbym zatem i dziś miał brać udział w podobnej bijatyce?

Ku mojemu zaskoczeniu strażnik rozkuł mi dłonie, a potem otworzył zamknięte na rygiel, odrapane drzwi i wepchnął mnie do środka. Sam został na zewnątrz. Usłyszałem zgrzyt zasuw. Znajdowałem się teraz w pomieszczeniu, w którym panowała całkowita ciemność.

– Co, do kurwy...

Przez moment stałem bez ruchu, masując nadgarstki i starając się wypatrzeć coś w zupełnym mroku. Bezskutecznie. Za plecami miałem zamknięte drzwi. Przedemną roztaczała się nieprzenikniona czerń. W zatęchłym powietrzu dało się wyczuć wilgoć. Mi-

mo niekomfortowej sytuacji nie zamierzałem walić w drzwi i błagać o pomoc. To nie leżało w mojej naturze. Adrenalina mnie napędzała. Czułem podniecenie przed nieznanym. Zupełnie jakbym właśnie zostawiał parszywą przeszłość, bo przede mną pojawiło się coś nowego, coś, co miało wyrwać mnie z tego grajdoła, w którym utknąłem, starając się naprawić i tak już zjebany świat. Dlatego zamiast panikować i histeryzować, bez wahania ruszyłem naprzód.

Rozłożyłem szeroko ramiona i dłońmi zacząłem szukać czegoś, co dałoby mi wiedzę na temat tego, gdzie się znalazłem. Ostrożnie stawiałem kroki, aby na nic nie wpaść. Szybko natrafiłem na ściany. Były umieszczone przeciwległe i dzieliła je niewielka odległość. Dotarło do mnie, że to korytarz. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak przekonać się, dokąd prowadzi. Brodząc w ciemnościach, zastanawiałem się, czy nie była to przypadkiem zabawa strażników. Jakaś nowa forma znęcania się nad niewygodnym więźniem. Zaraz jednak uznałem, że to stanowczo zbyt wyrafinowana kara jak na tutejsze służby. Wartownicy nie przejawiali aż takiej finezji. Lubili prostotę – w stosowanych środkach represji również.

Korytarz zdawał się nie mieć końca. Gładkie, otynkowane ściany szybko zmieniły się w lite cegły, a betonową podłogę zastąpiła glina. Czułem konsternację. O co w tym chodziło? Oby przerwanie treningu było warte tego, co czekało mnie na końcu tunelu.

W pewnym momencie wpadłem na ścianę. Dotarłem do ślepego zaułka. A jednak czułem, że nie trafiłem tu bez przyczyny. Ktoś miał cel w tym, bym błądził po tej zatęchłej piwnicy.

Przesuwałem palcami po ścianie. I nagle tuż nad głową poczułem coś zimnego i twardego. Bingo! W ścianę wmurowane były pręty metalowej drabiny. Bez wahania podciągnąłem się na rę-



kach, by się na nią wdrapać. Zacząłem się wspinać. Robiłem to coraz szybciej, jakby od tego miało zależeć moje życie. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale lubiłem ryzyko. Wreszcie jakieś wyzwanie, które przerwało marazm i nudę, w których tkwiłem. Byłem człowiekiem czynu. Bez działania wariowałem. Wreszcie szykowała się przygoda. Może potrwa zaledwie chwilę, ale przynajmniej na moment odmieni moją rzeczywistość.

Na samym końcu drabiny znajdowała się metalowa pokrywa. Popchnąłem ją. Była cholernie ciężka, ale gdy zaparłem się całym sobą, ustąpiła. Zsunąłem ją z włazu. Oślepiło mnie jaskrawe światło słońca. Nieprzyzwyczajone do jasności oczy łzawiły i piekły, mimo to wyczołgałem się na zewnątrz i wtedy usłyszałem nad sobą nieznany mi głos:

– Na kolana i łapy do góry, Anderson.

Otoczyła mnie grupa odzianych w czarne garnitury mężczyzn. Mierzyli do mnie z broni. Gdy moje oczy przyzwyczyły się do światła, przyjrzałem się im uważnie. Nie byli pracownikami więzienia. Wyglądali zbyt schludnie, zupełnie jak agenci Biura Ochrony Rządu, w którym pracowałem, zanim mnie przyskrzynili. Rozejrzałem się dookoła, by na szybko ocenić sytuację. Znajdowaliśmy się na dziedzińcu opuszczonej kamienicy pamiętającej jeszcze czasy przedwojenne. Bez świadków. Naliczyłem ośmiu uzbrojonych i dwóch bez broni, a więc uznali mnie za niebywale niebezpieczny cel. I mieli rację. Byłbym w stanie ich rozgromić. Może wyszedłbym z tego z raną postrzałową, ale powaliłbym ich wszystkich. Miałem ku temu odpowiednie przeszkolenie. Choć samoobrona bardzo mnie kusiała, uznałem, że lepiej się poddać.

Komuś najwyraźniej bardzo zależało na spotkaniu ze mną, skoro zadał sobie tyle trudu, by wyciągnąć mnie z więzienia. Nie sądziłem też, by była to zemsta rodziny zabitego przeze mnie mi-

nistra. Raczej za nim nie tęsknili po moich obciążających go zeznaniach i dowodach, jakie zebrali prokuratorzy.

Posłusznie wykonałem rozkaz. Podniosłem ręce i położyłem je na karku, potem uklęknąłem przed mężczyznami. Jeden z uzbrojonych przeszukał mój więzienny kombinezon.

– Nie ma broni, szefie – oznajmił stojącemu na uboczu osiłkowi.

To, że nie miałem przy sobie pistoletu, nie oznaczało, że byłem bezbronny, ale tę wiedzę wolałem zachować dla siebie.

– Doskonale. W takim razie czas na wycieczkę, Anderson – poinformował mnie przywódca grupy.

– Coś dużo tych wycieczek jak na jeden dzień. Odzwyczaiłem się. Uważajcie, bo jeszcze wam padnę na serce od nadmiaru wrażeń – zakpiłem.

– Lepiej dla ciebie, wesółku, byś dotarł cały i zdrowy do naszego pracodawcy. Masz to szczęście, że choć jesteś patałachem, ktoś się tobą zainteresował i chce ci pomóc. A teraz ruszaj dupsko.

Czyli jednak. Nie myliłem się. Na końcu podziemnego korytarza miał nastąpić punkt zwrotny mojego obecnego życia. Powinienem czuć strach, a zamiast tego ledwo powstrzymałem euforię. Moim celem było wydostanie się z więzienia. Ciekawe, co kierowało moim tajemniczym wybawcą. Mogłem się jedynie domyślać. Agentów takich jak ja było niewiele. Moje umiejętności były bezcenne, a ja kiblowałem w kiciu, zamiast je wykorzystywać. Ktoś ważny to dostrzegł i postanowił odmienić mój los. Gdybym był człowiekiem wiary, w tym momencie dziękowałbym Bogu za tę szansę.

Gdy wstałem, nałożono mi na głowę płócienny worek. Najwyraźniej nie chciano, bym wiedział, dokąd się udajemy. Nie sku-



to mi rąk, co potwierdzało pokojowe zamiary mojego wybawcy. Nie wdawałem się więc w dalszą dyskusję z jego ludźmi, tylko posłusznie pozwoliłem się wieźć w nieznane. Dwóch mężczyzn trzymało mnie za ramiona i prowadziło w sobie tylko znanym kierunku.

– Powstaniec wyszedł z kanału bez szwanku, proszę pana – dotarli do mnie słowa, jakie szef grupy kierował do kogoś, z kim rozmawiał przez komórkę. – Przejęliśmy go i zaraz go do pana przetransportujemy.

Opuściliśmy dziedziniec i znaleźliśmy się na ulicy. Mężczyźni pomogli mi wsiąść do stojącego tuż pod wyjściem z kamienicy auta, po czym zajęli miejsca po obu moich stronach. Najwyraźniej bali się, że im ucieknę. Tylko po co miałbym to robić? Jedynym pewnikiem w moim życiu było więzienie, a tam nie zamierzałem wracać, skoro już nadarzyła się okazja, by je opuścić. Pragnąłem tylko znów zaznać wolności. Zakładałem, że osoba, która płaciła za mój konwój, była bogata i najwyraźniej nie miała wobec mnie złych intencji. Ruszyliśmy na rozkaz przywódcy. W milczeniu jechałem wraz z obstawą w nieznane, wierząc, że to moje przeznaczenie albo po prostu cholerny łut szczęścia, który odmieni moje życie na dobre. Nadzieja, jak mawiano, jest matką głupich, ale czasem warto było ją mieć.

Po pewnym czasie auto się zatrzymało. Usłyszałem dobiegający z zewnątrz zgrzyt otwieranej bramy. Potem samochód wjechał na wysypaną żwirem drogę i ponownie stanął – zapewne na podjeździe jakiejś rezydencji. Silnik zgasł. Moja podróż dobiegła końca. Dwóch członków obstawy wprowadziło mnie do budynku. Nie wiedziałem, gdzie się znajduję. Panowała niezmacona cisza. Słyszać było jedynie stukot eleganckich butów prowadzących mnie goryli. Po tym odgłosie stwierdziłem, że podłoga by-

ła wyłożona drogim kamieniem. Zapewne marmurem. Byliśmy w jakimś pałacu, czyli – tak jak przeczuwałem – trafiłem do luksusowej oazy bogacza, który mnie uratował. Podobało mi się to. Po tak długim czasie spędzonym w zapyziałej celi marzyłem o odprężeniu się w godnych warunkach. Już sama kąpiel w wannie z ciepłą wodą stanowiłaby dla mnie spóźniony bożonarodzeniowy prezent.

Weszliśmy po schodach na piętro. Przed nami otworzyły się drzwi jakiegoś pomieszczenia. Wepchnięto mnie do niego, po czym zmuszono, bym usiadł na krześle. Trwałem w napięciu kilka minut, aż w końcu usłyszałem, że ktoś wchodzi do pokoju, okrąża mnie i siada nieopodal.

– No, no, Anderson. Myślałem, że zostały z ciebie jedynie skóra i kości, tymczasem ty nie próżnowałeś. Co za muskulatura – odezwał się niski męski głos, a ja poczułem, jak cała radość z niespodziewanego uwolnienia ulatuje ze mnie niczym powietrze z balonika.

Znałem go! Znałem skurwiela, który do mnie mówił. Chuj zasłużył na niezły łomot.

Bez namysłu zerwałem worek z głowy. Naprzeciwko mnie w skórzanym fotelu siedział Adrian Krzykowski – ostatni szef, dla którego pracowałem na wolności. Nieco przytył przez półtora roku i wyłysiał na skroniach, ale bez problemu go poznałem. Dumny jak paw, w tych swoich za małych okularkach w rogowej oprawce.

Jego obecność natychmiast podniosła mi ciśnienie. Kutas powinien zapłacić za to, co zrobił! Rozsierdzony, rzuciłem się na niego. Dzieliło nas wielkie antyczne biurko, ale miałem to gdzieś. Byłem tak szybki, że nawet stojąca przy wejściu ochrona nie zdążyła zareagować, gdy dopadłem gnoja. Chwyciłem mężczyznę za jedwabny krawat i mocno pociągnąłem.